A DELPIT

ZA GRZECHY
ŻYCIA

2216

242012

OSZK
Országos Széchényi Könyvtár

OSZK

PIERWSZA PRAGSKA
CZYTELNIA

POLSKA MACIERZ SZKOLNA
Czytelnia
„POPULARNA"
№ 5 Zielna № 5

PIERWSZA PRAGSKA
CZYTELNIA

OSZK

Dodatek do „Kurjera Codziennego.“

PAPUGA

OPOWIADANIE

Maurycego Jokaia.

WARSZAWA
DRUK G. ORGELBRANDA SYNÓW
Krak.-Przed. Nr 68.

1890.

Дозволено Цензурою

Варшава, 20 Февраля 1890 года.

2 P

242.012

R 1965

ORSZ. SZÉCHÉNYI-KÖNYVTÁR
B Növedéknapló
1953 év 462 sz.

PAPUGA.

Opowiadanie Maurycego Jokaia

I.

Pewnego pięknego poranka, Sebastjan Maglay spostrzegł zapłakane oczy swej żony. Widok całego świata zmienia się po ulewnym deszczu, a cóż dopiero oczy kobiety, zwłaszcza piękne oczy Klaryndy, pod wejrzeniem których doświadczało się zawrotu głowy? Przeglądało z nich wszystko, co tylko niebo w sobie zawiera: gwiazdy, tęcza, błyskawice, blask księżyca i jutrzenka. Ale Sebastjan Maglay widział w nich zwykle tylko zmrok wieczorny na zachmurzonem niebie.

— Dla czego masz oczy zapłakane, mój ty aniele zesłany z nieba?

— Moja Lori uciekła—odrzekła Klarynda, i dwie błyszczące krople łez potoczyły się z pod jej długich rzęs jedwabnych.

Lori była to papuga, gadająca trzema językami, ale najchętniej po niemiecku, tak zaś oswojona, iż z ust swej pani wydzierała kąski pomarańczy, a do krwi kąsała każdego, kto się do niej zbliżył. Zarówno pa-

nów jak i służących nazywała hultajami, z swoją zaś panią całowała się tak głośno, iż nie widząc jej, można ją było wziąć za narzeczonego. A gdy nazywała ją po imieniu: „kochana Klaryndo!“ to tyle pieszczoty brzmiało w tych wyrazach, iż dziwić się trzeba było że ptak może przemawiać z takiem uczuciem. Czasami też zapytywała się: „Czy kochasz mnie je szcze?“

A jednak uciekła.

— Do mnie, kto żyje! Hajducy, trabanci, strzelcy, ogrodnicy, leśnicy, stróże, poddani! Darmozjady Próżniacy! Ruszać mi natychmiast do lasu! Sto dukatów temu, który przyniesie papugę.

Lasy rodziny Maglayów miały przestrzeni sześć dziesiąt tysięcy morgów, ale wielka liczba poddanyc' wystarczała do schwytania papugi.

II.

W dziejach rodziny Maglayów papugi odgrywały rolę historyczną.

Jak samo nazwisko wskazuje, Maglayowie pochodzili z Bośnji, gdzie przodkowie ich już za czasów Matiasa Korwina byli znani i zasłużeni. Jeden z nich poległ nawet w bitwie pod Rigo, u boku Jana Hunjada...

Pradziadek Sebastjana, Karpos, był nawet czajakiś królem albańskim, i został ścięty przez turków Było to w owym czasie, gdy jenerał Piccolomini n czele oddziału, złożonego z ośmiu tysięcy ludzi, wkroczył do państwa Osmanów, i w zwycięskim pochodzi dotarł aż do Bałkanów. Rachował on na chwiejn w wierności dla turków plemiona serbskie, bulgarski i bośniackie, i wzywał ich do broni przez proklama

cje, ale że wówczas mało kto umiał czytać, odezwy więc jenerała pozostały bez skutku. Za to pieśni bohaterskie śpiewane przez ludowych pieśniarzy przy akompanjamencie skrzypiec, miały powagę wyroczni.

Największym legendowym bohaterem wśród słowian południowych jest królewicz Marko. Jest on uśpiony, lecz gdy nadejdzie czas przebudzenia, wtedy wypowie wojnę turkom, oswobodzi z pod ich jarzma ludy i wróci im dawną świetność i sławę. Ale Marko będzie posiadał nietylko siłę ziemską, towarzyszyć mu będą istoty, których dotychczas żadne oko ludzkie nie widziało, mianowicie ludzie podobni do djabłów i ptaki mówiące po ludzku. Z ballady tej skorzystał chytry Piccolomini, podczas swego pochodu do gór bałkańskich. Po wzięciu Nissy zabrał on z haremu jakiegoś bogatego turka wiele małp i papug, kazał je poprzywiązywać do grzbietów wielbłądów i wszedł z niemi do zdobytego miasta.

Radośny okrzyk: „Królewicz Marko idzie!“ rozległ się po całej słowiańszczyznie, ludność zaczęła się garnąć do jenerała, który tym sposobem z pomocą małp i papug zdobył wszystkie prowincje aż do Bałkanów i wypędził paszów, niejednokrotnie znających się tyle na sztuce wojennej, co cudowne zwierzęta bohatera Marka.

Samo to historyczne wspomnienie było dla Sebastjana Maglaya dostatecznem, by do zbiegłej papugi Lori przywiązywać szczególną wartość.

III.

Zresztą na zamku Maglayów panował ton tak pański, że dumna ze swych przodków papuga, którą jakiś profesor z Norymbergji nauczył sztuki mówienia

po ludzku, i która kosztowała dwieście talarów, nie potrzebowała wstydzić się swego otoczenia. Przepych życia i urządzenia odpowiadał w zupełności książęcym dochodom, otrzymywanym z tych dóbr olbrzymich...

Dobra te należały niegdyś do Zrinych i Frangipanych. Pradziadek Sebastjana był człowiekiem ostrożnym i praktycznym: gdy oni podali głowy swe pod miecz katowski, on zdołał ocalić swoją i dobrze na tem wyszedł. Nabył ich dobra, zbudował zamek i stał się najwierniejszym poddanym Leopolda I-go.

Apartamenta pierwszego piętra zajmowane były przez kobiety, parter przez dziedzica, dwa skrzydła przeznaczone były dla gości, służba zaś mieściła się w budynkach oddzielnych. O ile pokoje pierwszego piętra odznaczały się przepychem, o tyle parter umeblowany był bardzo skromnie. Zbroje, broń i portrety w kosztownych bronzowych ramach, stanowiły jedyną ozdobę, choć dodać należy, iż obrazy po większej części pędzla mistrzów weneckich, posiadały wysoką wartość artystyczną.

Tylko dwa ostatnie, przedstawiające Sebastjana i jego żonę, dzieła jakiegoś wiedeńskiego mistrza, pochodziły z początku bieżącego wieku. Sądząc z obrazu, pan Sebastjan był wcale przystojnym mężczyzną, choć przyznać należy, iż odświętny dolman węgierski dodaje wiele wdzięku. W portrecie żony jego artysta nie potrzebował wcale idealizować: całem tu jego zadaniem było wierne odtworzenie oryginału. A była to twarz cudownej piękności z prześlicznie wykrojoną linją ust, ciemno-niebieskiemi pałającemi oczyma i czarnemi brwiami, przypominającemi napięty łuk Amora. Włosy barwy szafranu spadały w gęstych lokach na śnieżnej białości szyję i ramiona, część zaś ich, według ówczesnej mody, zapleciona w

warkocze, opasywała górną część czoła i wierzch głowy. Do tego usta na pół otwarte, jak gdyby nie dosyć, że same oczy zdawały się przemawiać. Za temi dwoma obrazami były już puste miejsca, które pomysłowy malarz pokojowy wypełnił scenami alegorycznemi.

Pan Sebastjan często przechadza się po tej sali, za każdym razem zatrzymuje się przed obrazami, wstrząsa głową i idzie dalej. Stamtąd udaje się do zbrojowni, a raczej do muzeum rogów jelenich, łbów dzików i skór różnych zwierząt, między któremi znajdują się trofea złożone i przez niego, nie wyrównywające przecież w rozmiarach pozostawionym przez przodków. Zdawałoby się, że najpiękniejsze okazy tych zwierząt zatracone już zostały. Od niejakiego jednak czasu opowiadają, iż zjawił się w lasach król jeleni, przewodzący całem stadem, i nadano mu nawet imię „Sardanapal.“ Parę lat uganiają się już za nim i nie mogą go ująć. Z tuzin psów rozszarpał już swemi rogami. Raz wpadł nawet na obławę, lecz rzucił się z całem stadem na łańcuch ludzi, przerwał go, wielu myśliwych stratował, następnie dopadłszy do nadłowczego, pochwycił go na swe potężne rogi i pędził z nim przez gąszcze i błota, dopóki pas rzemienny, o który zaczepiły się odnogi rogów, nie pękł, i ogłuszony myśliwy nie padł na ziemię.

Pan Sebastjan bardzo pragnął pochwycić to wspaniałe zwierzę. Rogi jego miały już dwadzieścia cztery odnogi—rzecz rzadka, można powiedzieć unikat! Lecz cóż, kiedy żaden myśliwy nie mógł zejść go nigdy.

Pan Sebastjan czatował całe noce, by spostrzedz Sardanapala na odległość strzału, ale ten, zanim wyszedł ze swej kryjówki, wysyłał zwykle na zwiady samice, i dopiero gdy one wróciły, udawał się do

strumienia. Węch zaś miał tak subtelny, iż o trzysta kroków czuł odor strzelby.

Tego dnia, w którym Klarynda miała zapłakane oczy, czekał na swego pana w zbrojowni ulubiony jego strzelec Mirko. Był on dalmatyńcem. W zażyciu koni równego sobie nie miał, każdy koń, dziki czy tresowany, chodził pod nim jak gemza, a pływał jak delfin.

— Nadłowczy donosi, że Sardanapal znajdował się w nocy w gąszczach niedaleko młyna. Możnaby go teraz tam zastać.

Między oczami dalmatyńca ciągnęła się ukośnie aż do kąta ust czerwona pręga.

— Co ty masz na twarzy? — zapytał pan Sebastjan.

— Koń poniósł mnie przez gęsty las i gałęź uderzyła.

— Nie kłam! Wiesz, że niczego tak nienawidzę, jak kłamstwa. Z wyjątkiem jednego tylko wypadku, uczciwy człowiek powinien zawsze mówić prawdę. Gdyby mi kto ukradł mój skarb najkosztowniejszy i przyznał się otwarcie, puściłbym go w spokoju; ale jeśliby zerwał jedną wiśnię z drzewa i zapierał się, rozprułbym mu brzuch, by go przekonać. To nie gałęź cię uderzyła.

— Prawda, proszę pana.

— Więc skądże ta pręga?

— To jaśnie pani uderzyła mnie szpicrutą w twarz.

— Moja żona? To mnie dziwi... Cóżeś takiego zrobił?

— Gdy pani ze Sterngrafem...

— Hrabia Sternberg, drągalu! Czy nigdy nie nauczysz się pamiętać nazwisk?

— Zapominam zawsze.

— Mów dalej.

— Gdy pani chciała jechać z nim do świętego zdroju, dokąd codziennie się udaje...

— We dwoje?

— Nie. Jaśnie pani zwykle brała z sobą Lori.

— To jest papugę?

— Tak. Masztalerz pani upił się, więc ja podprowadziłem konia, ale że on nie przywykł do mnie, więc rzucał się jak wściekły. W chwili, gdy pani włożyła nogę w strzemię, koń skoczył i noga pani zsunęła się. Za to pani uderzyła mnie szpicrutą.

— I to nieprawda. Znowu skłamałeś. Moja żona za takie bagatelne rzeczy nie bije. Mów mi zaraz prawdę.

— Dobrze, skoro pan każe. Gdy noga pani ześlizgnęła się na ziemię, to suknia zaczepiła się o siodło, a ja zobaczywszy odkryte kolano, uśmiechnąłem się. Pani za to mnie uderzyła.

— Tak? A czy kolano miała białe?

— O nie, różowe.

— Teraz powiedziałeś prawdę, wynagrodzę cię więc za to.

Wziął w lewą rękę sztukę złota, prawą zaś wyciągnął otwartą.

— Którą chcesz rękę? wybierają! W lewej mam sztukę złota, a prawa pusta. Komu ofiaruję prawą, tego uważam za przyjaciela.

Dalmatyniec uśmiechnął się chytrze. Ręka ze sztuką złota pociągała go więcej niż pusta, ale gdyby ją wybrał, poznanoby że skłamał i nie uwierzonoby mu.

— Mam dwie ręce na to, aby obie przyjąć.

— Sprytny jesteś — rzekł pan Sebastjan, zadowolony z tak dowcipnego rozwiązania trudności i podał służącemu nietylko sztukę złota, lecz i rękę prawą.—Teraz widzę, że nie kłamiesz. Tak być powinno.

Człowiek powinien zawsze mówić prawdę — z wyjątkiem jednego razu!—Ale nie objaśnił jakiego.—A teraz powiedz nadłowczemu, że w nocy wyjeżdżam na polowanie na całą dobę.

IV.

Pan Sebastjan wyruszył do lasu i znalazł poszukiwanego Sardanapala w tych samych nawet gąszczach, w których widział go nadłowczy. Pomimo to, nie mógł do niego strzelać, albowiem ten sułtan jeleni tak się otoczył swoim haremem, iż tylko rogi jego można było dojrzeć. I tak całe stado przeszło mu przed nosem, nie odkrywszy ani na chwilę swego przewodnika.

Pan Sebastjan uparł się i postanowił całą noc przepędzić w lesie, byle tylko upolować upragnionego Sardanapala. Z myśliwych miał przy sobie jednego tylko Mirka. Obaj ukryli się w strzelniczej budzie, i dla zabicia czasu ciągnęli z myśliwskiej flaszy. Flasza była spora, zawartość jej smaczna, wkrótce więc głowy obu zaczęły parować. Mirko tytułował swego pana kumem i szlachcic wcale się o to nie gniewał.

Nagle podniósł się wśród lasu ogłuszający hałas. Wrzaski z niezliczonych gardzieli rozchodziły się po lesie, jak gdyby ogromna jaka obława napędzała zwierza.

— Do stu tysięcy djabłów! — zawołał szlachcic wściekły.—Cóż to za głupiec urządza mi teraz polowanie?

— Ty sam jesteś tym głupcem, kumie — rzekł Mirko—kazałeś bowiem, aby cała służba i wszyscy poddani szukali zbiegłej papugi. Właśnie to oni krzyczą.

— Prawdę powiedziałeś; byłem głupcem. Wystraszyli mi Sardanapala! No, napijmy się. Żeby choć przynajmniej znaleźli papugę.

Ale nadzieja ta omyliła go, wkrótce bowiem chłopi przybyli do ostępu, w którym ukryta była buda strzelnicza i oświadczyli, że wszystkie ich usiłowania były próżne.

— Jeżeli jesteście zmęczeni, to idźcie teraz na spoczynek, a jutro rano zaczniecie znowu. Więc ani papugi ani rogacza! Napijmy się kumie Mirko!

Ten pociągnął z flaszy łyk dobry, poczem język jego rozwiązał się jeszcze więcej.

— Ja wiem—rzekł—gdzie jest twoja papuga i twój rogacz.

— Chciałbym pierwej wiedzieć o ostatnim. Mów prędko, gdzie jest?

— Gdy jesteś w domu, to i on się tam znajduje, lecz skoro wychodzisz, to i jego tam niema.

— To znaczy, że noszę go na głowie, co?

— Tak jest.

— Czy nie lękasz się, bym twój pysk rozpuszczony zamknął pięścią?

— Nie, bo w takim razie nie mógłbyś się dowiedzieć, gdzie znajduje się twój ptak gadający. A chciałbyś przecie wiedzieć...

— Gdzież on jest? Mów!

— U Sterngrafa.

— U hrabiego Sternberga? W takim razie jest w domu.

— Nie, bo hrabia odjechał dziś w południe.

— Więc nie pożegnał się ze mną.

— Z tobą nie, ale pożegnał się z twoją żoną.

— No, to życzę mu szczęśliwej podróży.

— Nie tak, kumie, nie tak, mój panie! Twój wierny sługa i przyjaciel nie może dłużej ukrywać

przed tobą tej hańby. Jestem dalmatyńcem z plemienia morlaków, a kto morlaka uderzy w twarz szpicrutą, nie ujdzie mu to bezkarnie. Opowiem ci wszystko, słuchaj tylko. Gdy pani uderzyła mnie w twarz i ja zakryłem ją rękami, widziałem tylko tyle, że hrabia pomagał twej żonie siąść na konia. Tymczasem służący przyniósł papugę, którą pani, wyjeżdżając, zawsze brała z sobą. I teraz, ptaka, który miał srebrny łańcuszek u nogi, umieściła na ramieniu, a gdy koń wystraszony rzucił się, to i papuga zaczęła bić skrzydłami. Gdy oboje odjechali, poszedłem do dzikiego stada, które się pasło na łące, wybrałem konia, którego grzywa spada aż niżej piersi, pochwyciłem go, ale nie siadłem na niego, tylko uczepiłem się tak jak indjanie zwykli jeździć. Wcisnąwszy głowę pod szyję końską, byłem zupełnie niewidzialny. A że koń, którego wybrałem, był przewodnikiem, więc gdy ruszył, poszło i całe stado i zakryło mnie jeszcze lepiej. Dogoniłem panią i hrabiego u świętego źródła. Cokolwiek dalej, gdzie droga wspina się na górę, stał powóz hrabiego, zaprzężony w cztery konie. Święte źródło otoczone jest staremi lipami, między któremi rosną gęste krzaki. Otóż do tych krzaków wjechałem z moim koniem. Jeźdzcy zsiedli już z koni i poszli do źródła. Tam pani lewą ręką wzięła rękę hrabiego, prawą zaś oparła na jego ramieniu.

— Więc chcesz mnie opuścić? — mówiła. — Więc już zapomniałeś, coś mi przysięgał na tem miejscu?

— Ważniejszą jest przysięga—odrzekł hrabia— którą wykonałem przed umierającą matką moją, iż będę zawsze pamiętać o dziesięciu przykazaniach bożych.

— Są to puste słowa — odparła na to pani. — Czyż tej przysięgi dotrzymałeś? Czyż usta twoje nigdy nie bluźniły? Czyż nie czciłeś bogów cudzych?

Czyż nie zabijałeś? Alboż nie zamordowałeś w pojedynku najlepszego twego przyjaciela? Wtedy nie pamiętałeś o przysiędze złożonej twej matce! Więc czyż można cię nazwać uczciwym człowiekiem?

— Powiem ci prawdę—usprawiedliwiał się hrabia.—Do opuszczenia tego miejsca zmusza mnie ślub wiecznej i niezłomnej przyjaźni, jaki z Sebastjanem Maglayem na polu bitwy uczyniliśmy wzajemnie. Przysięgliśmy sobie wspierać się w każdem niebezpieczeństwie, i w razie potrzeby nawet życie poświęcić. Widzisz więc, co ślubowałem mojemu przyjacielowi!

— Zapomniałeś jednak o swej przysiędze, gdy radziłeś mu, by się ze mną ożenił. Wiedziałeś przecież, że ja mu ziemię na piekło zamienię. Próżny to wykręt!

Hrabia zaczął się oglądać na konie parskające w krzakach i powiedział do pani, by się hamowała.

— To są konie. Czyż się obawiasz, że nas podsłuchują? Tyle razy zwierciadło tej wody widziało nas tutaj, a chociaż szemrze, czyż zdradziło? Tylokrotnie słuchały nas tych lip gałęzie, a chociaż szeleszczą, czyż nas wydały? Nie! Ty się nie obawiasz, tylko nie kochasz mnie... Nie przysięga złożona twej matce i przyjacielowi skłania cię do opuszczenia mnie, ale miłość dla innej. Przysięga, uczyniona innej kobiecie, odbiera mi ciebie!

Słowa te wymówiła pani tak gwałtownie, że podrażniona niemi papuga, zaczęła wołać: „hultaju! łotrze!“

Na to odpowiedział hrabia:

— Tak jest! masz słuszność! Tam, w Czechach, czeka na mnie moja narzeczona.

Na to pani schwyciła obie ręce hrabiego, i przybliżywszy twarz swoją do twarzy jego, zapytała:

— Czy ona piękniejsza odemnie? Czy lepsza, wierniejsza?

— Nie jest ani piękniejszą, ani lepszą, ani wierniejszą od ciebie, ale zaręczyłem się z nią zanim jeszcze poznałem ciebie.

— I teraz odjeżdżasz do niej?

— Tak.

Pani zaczęła wtedy płakać i łamać ręce. Hrabia prosił ją, by nie płakała, bo będzie miała oczy czerwone i pan to spostrzeże. Uspokoiła się więc cokolwiek i rzekła:

— Kiedy odjeżdżasz stąd i opuszczasz mię na zawsze, weź przynajmniej z sobą moją ulubioną Lori. Ona każdego dnia przypomni ci moje imię i zapyta: „Czy kochasz mnie jeszcze?“

I zdjąwszy papugę, przywiązała ją srebrnym łańcuszkiem do ramienia hrabiego. Na pożegnanie uścisnęli się i pocałowali kilka razy. Tylko nie wiem napewno, czy odgłos pocałunków nie pochodził od papugi, bo ta bestja umie całować jak człowiek. Poczem rozstali się. Hrabia wsiadł na konia i odjechał drogą leśną, pani zaś tak długo jeszcze siedząc na koniu czekała, dopóki nie zobaczyła hrabiego u powozu. Wtedy żegnała go jeszcze chustką. Wszystko to widziałem i słyszałem, będąc uczepiony pod brzuchem końskim. Niech ziemia rozpadnie się podemną, jeżeli skłamałem choćby najmniejszem słowem.

Gdy sługa skończył swoje opowiadanie, pan Sebastjan zapytał się:

— Czy mówiłeś już komu o tem?

— Nikomu. Pierwszemu tobie to mówię.

— Jak ci się zdaje, czy można jeszcze hrabiego dogonić?

— Bardzo łatwo. Pojechał karetą ciężką i z pe-

wnością zatrzyma się na noc. Jeżeli pojedziemy wierzchem, dopędzimy go rano.

— Dobrze.

Sebastjan Maglay wyszedł z budy strzeleckiej, i zbliżywszy się do obozujących ludzi, zawołał:

— Niech tu przyjdzie sześciu hajduków!

Podeszli.

— Weźcie tego łotra i dajcie mu pięćdziesiąt kijów!

Dość było tych kilku słów. Czterech silnych ludzi pochwyciło dalmatyńca, i pomimo jego oporu, powaliło na ziemię, przytrzymało go, gdy tymczasem dwaj pozostali, wyciąwszy kilka prętów leszczyny, wyliczyli mu sumiennie pół setki razów. Gdy ukończyli swą pracę, pan Sebastjan przemówił do Mirka tonem nauczycielskim:

— Widzisz kumie, to jest nagroda dla każdego łotra, który szpieguje szlachetną damę i później ją zdradza.

Teraz wiedział Mirko, w jakim to wypadku uczciwy człowiek nie jest obowiązany mówić prawdy.

Poczem zapalono pochodnie i obława przez lasy i krzaki ruszyła za papugą. Rano dopędzono hrabiego, który nie wiedząc o niczem, nocował w oberży nad drogą. Pan Sebastjan obsadził drogę ludźmi tak, że ucieczka była niemożliwą.

Hrabia Alfred Sternberg spał sobie najspokojniej w powozie, stangret drzemał na koźle, papuga zaś na przodzie powozu. Ptak ten gdy śpi, zwykle chrapie jak człowiek.

Nagle zagrzmiało: „stój!“ i wszyscy troje przebudzili się. Hrabia wyjrzawszy przez drzwiczki, spostrzegł ze wszystkich stron skierowane ku sobie lufy strzelb, ale straszniejsze wrażenie niż ta groźba, uczyniła na nim surowa twarz Sebastjana. W tej

chwili przypomniał sobie los Mazepy. Po przejściu pierwszego wrażenia, zdjął z siebie ciężki płaszcz i rzucił go na papugę, by ukryć ją przed wzrokiem Sebastjana.

— Czyż to ładnie—rzekł Sebastjan, kładąc rękę na ramieniu hrabiego—tak odjeżdżać z domu szlachcica węgierskiego, bez pożegnania, po holendersku, i w dodatku okraść go?

— Ja nic nie ukradłem—wyjąkał hrabia.

Ale fatalna to rzecz, gdy przedmiot ukradziony sam może mówić. Papuga ostrym swoim dziobem zrobiwszy dziurę w płaszczu, wytknęła przez nią głowę i zaczęła krzyczeć: „Hultaju! Rabusiu!“

Hrabia spostrzegłszy, że kłamstwo jego się wydało, zmienił ton i przemówił z godnością.

— Więc dobrze. Jestem na pańskie rozkazy. Wiem, czego honor wymaga. Zwykłem za wszelką obrazę dawać satysfakcję. Co pan wybiera: szablę czy pistolety?

— Oho! pojedynek? — odparł Sebastjan. — Ja ze złodziejami się nie pojedynkuję. Karam ich.

— Protestuję przeciw wszelkiemu gwałtowi!

— Nic to nie pomoże. Jestem na swoim gruncie i posiadam prawo życia i śmierci. Sam wydam wyrok. Nie myśl pan, by można było znakomitej damie ukraść skarb najdroższy i uniknąć kary. Powrócisz pan skarb, a za złodziejstwo pójdziesz na rok do więzienia. W razie oporu każę okuć w kajdany.

Hrabia spostrzegł, że wpadł w pułapkę. Jeżeli przyzna się, w jaki sposób przyszedł do posiadania papugi, to będzie rozstrzelany; jeżeli zaś przyjmie na siebie winę kradzieży, to ten krwiożerczy dalmatyniec osadzi go w więzieniu swego zamku. Postanowił jednak nie zdradzić tajemnicy.

Zawrócono karetę i ruszono w drogę z powro-

tem. W wioskach, przez które przejeżdżano, zbiegali się ludzie i przyglądali się orszakowi z podziwieniem. Opowiadano sobie, że to Napoleon uciekł z wyspy św. Heleny i stąd rozpocznie nową wojnę. A trzeba dodać, że hr. Alfred był nawet podobny do Napoleona I-go: ten sam profil, to samo czoło, ten sam podbródek, tylko w oczach brakowało mu tego „czegoś,“ co uderzało we wzroku cesarza francuskiego.

Gdy kareta wtoczyła się pod sklepioną bramę sygnał dany przez straż zamkową ściągnął do okna panią zamku. Spostrzegła powóz, lecz nie mogła zrozumieć co się stało. Dopiero gdy hrabia wysiadł, poznała go i zeszła na dół na spotkanie. Żona pana Sebastjana była kobietą odważną i śmiało stawiła czoło niebezpieczeństwu. Gdy spotkała ich w długim sklepionym korytarzu, Sebastjan trzymał mocno za rękę hrabiego, na którego ramieniu siedziała papuga.

— Chodź moje dziecko — zawołał Maglay — dotrzymałem ci co przyrzekłem. Odnalazłem twoją ulubioną papugę, nie płacz więc. Przywiozłem i złodzieja nawet. Kara na niego już postanowiona: odsiedzi jeden rok w więzieniu, przytem straż otrzymała rozkaz zastrzelenia go w razie gdyby usiłował uciekać.

Klarynda i Sternberg spojrzeli na siebie, lecz nie rzekli ani słowa. Tylko papuga zaczęła krzyczeć „Czy kochasz mnie jeszcze, droga Klaryndo?“

* * *

Poczem pan Sebastjan nie wziąwszy z sobą nikogo, wrócił sam jeden do myśliwskiej budy w lesie i dalej czatował na Sardanapala. Tym razem poszczęściło mu się nadzwyczajnie. Podszedł go na dwadzieścia kroków, strzelił ze swego karabina tyrol-

skiego i powalił go na miejscu. Teraz przodkowie jego nie mogli mieć mu nic do zarzucenia, rzadką kolekcję bowiem powiększył okazem rogów o dwudziestu czterech odnogach.

Nareszcie po dwudziestu pięciu latach testament Sebastjana Maglaya został otwarty. Stary pan dożył pięknego wieku, lat dziewięćdziesięciu, i byłby żył dłużej, gdyby upadek z konia o śmierć go nie przyprawił. Majątek swój podzielił między dwóch synów w ten sposób, iż utworzony majorat z dóbr Maglay zostawił starszemu, ogromne zaś lasy w Dalmacji i pewną sumę złożoną w banku, bez możności jej podniesienia, a tylko z prawem pobierania procentów, zapisał młodszemu.

Starszy z synów, Filip, posiadał wiele przymiotów i otrzymał bardzo staranne wychowanie. Ojciec, przeznaczywszy go na drogę dyplomatyczną, wysyłał go do Anglji i Francji. Postać młodzieńca była przyjemna, twarz dosyć piękna i zachowanie się dystyngowane i poważne. Zyskiwał on od pierwszego wejrzenia sympatję każdego, a charakter jego po bliższem poznaniu usprawiedliwiał pierwsze wrażenie. Z przymiotami charakteru szły w parze szlachetne serce i rozum.

Zupełnie innym był młodszy brat Ernest. Szeroki w ramionach, z kańciastą głową, pospolitemi rysami twarzy, do tego dumny i wyniosły, był zuchwałym w postępowaniu tak z mężczyznami jak i kobietami. Nauki nie lubił, posłuszeństwa nie znosił i nie zdał się ani na duchownego, ani na żołnierza. Jedyną

jego namiętnością było myśliwstwo, i teraz właśnie polował gdzieś w Afryce na lwy.

Skoro tylko ojciec umarł, Filip został wezwany z Paryża dla objęcia majoratu. Przybył natychmiast i rozporządził wszystkiem jak najlepiej, co tem łatwiej mu poszło, iż plenipotentem jego był Marcin Pargha, człowiek dzielny, uczciwy i sprężysty. Służył on od dzieciństwa rodzinie Maglayów i zrobił przy niej karjerę.

Filip załatwiwszy się z interesami w Peszcie, odjechał do Wiednia. Ojciec jego był lubianym u dworu, więc i on postanowił szukać tam pola działalności. Po przybyciu pośpieszył natychmiast złożyć wizyty osobom, z któremi rodzina jego utrzymywała stosunki, a których on dotychczas nie znał.

Wkrótce otrzymał zaproszenie na bal do księżny Korneuburg, której pałac słynny był z posiadania bardzo kosztownych obrazów pędzla mistrzów holenderskich. Gdy po wyjściu z opery udał się do księżny, zastał już na ulicy przed pałacem długi szereg powozów, należących do gości przed nim przybyłych. W garderobie oddał płaszcz lokajowi.

— Czy dostanę znaczek?—zapytał go.

— Nie potrzeba—odrzekł lokaj z uśmiechem.— Poznam i bez numeru.

„No, ten człowiek musi być drugim Lawaterem— mówił do siebie Filip.—Widzi mię pierwszy raz w swem życiu i zapewnia, że pozna mój płaszcz między trzystu innemi.“

Nie zastanawiając się nad tem dłużej, wstąpił na schody. W korytarzu, gdzie znajdowała się garderoba damska, ubrane do tańca panny i okryte klejnotami mężatki oddawały lokajom swe zwierzchnie

okrycia. Atmosfera przesiąknięta była perfumami Filip przypatrywał się snującym uroczym postaciom a że był przystojnym i okazałym, nie jeden więc wzrok przyjaźnie spoczął na jego obliczu. Ale i on sam utonął w oczach jednej z przybyłych. Było to młode dziewcze, i prawdopodobnie po raz pierwszy znajdowało się na balu, z niepokojem bowiem usiłowało zakryć odkryte ramiona. Miała na sobie suknię białą, ubraną kwiatami pomarańczowemi. Z pięknej twarzy, jak z oblicza madonny, powleczonego delikatnym naturalnym rumieńcem, wiał urok niewinności. Z oczów tego pięknego dziecka zdawały się przeglądać wszystkie siedm cnót głównych. Stojąc pod ścianą korytarza, Filip wpatrywał się z lubością w uroczą dziewczynę, gdy w tem ona, oddawszy swe okrycie, przypadkiem spojrzała na niego.

— Ach, więc jesteś już!—rzekła z radością melodyjnym głosem, i podstąpiwszy do młodego człowieka, objęła go ramionami i złożyła na ustach pocałunek serdeczny. Lecz w tejże chwili zbladła, i radośny wyraz twarzy ustąpił przerażeniu. Zakryła oczy wachlarzem, pochwyciła rękę towarzyszki i znikła za otwartemi drzwiami sali.

„No, rozpocząłem dzień dobrze! — rzekł do siebie Filip, zachwycony niespodziewanym pocałunkiem tak pięknych ust.—Co to się stało?“

Balowa sala była pełna, z łatwością więc uroczą dziewczę ukryć się zdołało. Księżna, jako gospodyni domu, przyjmowała gości u wejścia do sali. Gdy Filip spostrzegł, iż każdy ją witał, pośpieszył również ku niej. W domu tym był po raz pierwszy.

— Mam zaszczyt przedstawić się pani...

— Dajże pokój, roztrzepańcze! — przerwała mu księżna życzliwie.—Po co się pan przedstawiasz! Znamy tu pana dobrze!

„Znają mię dobrze? Czyż popełniłem tyle głupstw, ile inni młodzi ludzie w Paryżu, i tutaj wiedzą już o tem?"—myślał zdziwiony Filip, i wmieszał się w tłum gości. Był tu zupełnie obcym i nie znał nikogo. Wkrótce spostrzegł, że poważne figury, mające na lewej stronie piersi gwiazdy orderowe, patrzały nań, jakby zdumione, że omijał je, nie witając. Ależ przecie niema zwyczaju witać się z ludźmi nieznajomymi. W tem jakiś młody mężczyzna z monoklem w oku, przecisnąwszy się przez grupę gości, podszedł ku niemu.

— Szukam cię oddawna!—zawołał, i wziąwszy za guzik od fraka, pociągnął go do okna. Tam wyjął z kieszeni pugilares, wziął cztery papierki po tysiąc guldenów każdy i trzymając je w ręku, zapytał:

— Ile to jest?

— Cztery tysiące!—odrzekł Filip.

— Więc bierz je i schowaj.

— Ja mam je brać i chować? Na co?

— Na co? Cóż mnie to obchodzi? Kup bransoletę dla Taglioni, jeśli masz ochotę.

— Dobrze; lecz jakież prawo mam do tych pieniędzy?

— Ależ do djabła! Toć przegrałem je do ciebie w karty.

— Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek wygrał od kogo w karty.

— Nie przypominasz sobie? Tem gorzej dla ciebie—rzekł młodzieniec, i schowawszy banknoty do kieszeni, odszedł od okna.

Filip nie miał jeszcze czasu zastanowić się nad tą dziwną zagadką, gdy uczuł lekkie uderzenie w ramię wachlarzem. Odwrócił się i spostrzegł młodą kobietę z twarzą Junony, ubraną w suknię, pokrytą bry-

lantami i piórami kolibrów. Wyglądała na królowę balu. Włosy i oczy miała czarne.

— Czy pamiętasz, jakeś zapomniał o mnie, zaprosiwszy przedtem do kadryla? — zapytała dama z roskosznym uśmiechem i czarującem spojrzeniem.

— Ja? ja?—jąkał zdziwiony Filip.

— Jesteś grzeczny rycerz, zapominający o swych tancerkach. Ale dzisiaj otoczyłam cię moją tajną policją, i nie potrafisz się wymknąć—rzekła dama z uśmiechem i odeszła.

Filip nie zdołał jeszcze oprzytomnieć, gdy przeszedłszy do sąsiedniej sali, wpadł w ręce jakiegoś dyplomaty, który wziąwszy go poufale pod ramię, zaczął mu opowiadać do ucha o rozmaitych niełaskach, których przyczyny nie wymagały objaśnienia, o intrygach łatwych do odkrycia i o niezliczonych niebezpieczeństwach, grożących młodemu człowiekowi na salonach dworskich. Filip nie rozumiejąc ani słowa, na wszystkie te zwierzenia mógł zaledwie odpowiadać: „hm“ i „aha.“ Odetchnął dopiero, gdy tajemniczy jego doradca powiedziawszy: „oto nadchodzi,“ — oddalił się pośpiesznie.

Ale któż jest ten, który nadchodzi?

Mężczyzna słusznego wzrostu i pięknej postaci, w uniformie russkiego oficera lejbgwardji, pokrytym orderami, podstąpił do Filipa.

— Zdrastwujtie sudarl—zawołał i podał mu rękę.

Filip odpowiedział grzecznie po francusku:

— Przepraszam pana najuprzejmiej; mówię wprawdzie kilkoma językami, lecz russkiego nie znam.

— Jakto?—zawołał jego interlokutor, dumnie cofnąwszy głowę.—Zapomniałeś russkiej mowy? Wypierasz się nas? I jak śmiesz mi to powiedzieć w oczy, wyrodny potomku? Wstydzisz się szlachetnego języka, którym w trzech częściach świata mówią?

Więc dobrze, niech cię to nie zdziwi, że i ja wyrzekam się ciebie i wydziedziczam...

Powiedziawszy to, odwrócił się i odszedł.

Filip osłupiał ze zdziwienia. „Wydziedziczył mnie—myślał.—Żebym choć wiedział przynajmniej, jak się nazywa!“

Lecz w tejże chwili został otoczony przez grupę młodych ludzi, witających go, jako poufałego towarzysza. Filip nie mógł dość się wydziwić, że w poważnych kołach wiedeńskich istnieje zwyczaj przy pierwszem spotkaniu, bez przedstawienia, nazywać się po imieniu i zdrobniale, jakby między dziećmi: Thuri, Stelli. Bebus, Blickus, co ma oznaczać: Artur, Cornelius, Albert i Adalbert. Jego samego nazywano: „Pipo;“ czyżby to w wiedeńskich sferach arystokratycznych było zdrobniałe imię „Filipa?“

Tymczasem w sali, w której tańczono, walc już się kończył, lokaje roznosili ochładzające napoje, fala gości przelewała się do sąsiednich salonów. Pomimo ścisku Filip zaobserwował, iż kilku dandych śledziło go bezustannie i następowało prawie na pięty. Drażniło go to prześladowanie, ukrył się więc we framudze okna. Ale i tam nie znalazł spokoju, zaledwie bowiem pierwsze takty kadryla dały się słyszeć i tancerze zaczęli podchodzić do swoich dam, podstąpił ku niemu jakiś młody, szczupły dandy, i ze złośliwym uśmiechem powiedział:

— Aha! mam cię nakoniec! Jesteś moim *vis-à-vis*. Prędzej, prędzej! margrabina zaczyna się niepokoić. Już skończyli uwerturę!

Filip dał się poprowadzić przez salę i tylko myślał:

„Któż to może być taki, co czułby się nieszczęśliwym z powodu mej nieobecności?“

Dobrze że powiedziano mu to, będzie przynaj-

mniej wiedział, jak mówić do tej damy. „Margrabina...“ Więc to musi być zapewne ta imponująca Semiramida, która przywitała go u wejścia do sali. Domysł jego okazał się trafnym, była to bowiem rzeczywiście owa piękność w sukni ozdobionej klejnotami i piórami kolibrów.

— Aż w ostatniej chwili!—rzekła z wyrzutem, i wziąwszy go za rękę, poprowadziła na właściwe miejsce w szeregu tańcujących. Bystre oko Filipa dostrzegło jakiegoś grubego pana, który oparty o poręcz fotela, patrząc ponuro, śledził każdy krok jego tancerki. Więc to musi być mąż margrabiny... Spojrzał na drugą stronę sali i spostrzegł tańcującą uroczą czarodziejkę, która go w garderobie powitała tak serdecznie. Jeszcze teraz napróżno nad tą przygodą łamał sobie głowę.

W kadrylu można rozmawiać z swą tancerką dopiero po odprowadzeniu jej na miejsce. Ale cóż, kiedy ponury pan stanął tak blisko za fotelem, że żadne słowo nie mogło ujść jego uszu. Lecz i na to jest sposób.

— Termometr wskazuje dzisiaj jedenaście stopni—zauważyła margrabina, zwróciwszy się do Filipa.

— Tak, ale zimno—odrzekł Filip, lecz w tejże chwili spotkał się z tak gniewnym wzrokiem swej tancerki, że odrazu odpadła mu ochota mówić o Reaumurze.

Po chwili bogini zaczęła znowu:

— Czy nie znajdujesz pan, że żółta róża bardzo dobrze wydaje się na czarnem domino?

— Nie, margrabino; nie podoba mi się.

Po tej odpowiedzi nie wiele brakowało, by piękna pani uderzyła go wachlarzem po ręku. Gniew trysnął na jej twarzy, i łono zaczęła falować gwałtownie. Na szczęście następowało *solo des dames*,

podczas którego zapanowała nad sobą, i uśmiech znowu zagościł na jej ustach. Podczas następnego *tour des mains* szepnęła do swego tancerza:

— Jutrzejszy bal maskowy zapowiada się bardzo świetnie.

— Żałuję, że nie będę mógł być na nim, odjeżdżam bowiem do Pesztu.

Po tych słowach margrabina spojrzała nań zimno i nie przemówiła już więcej. Podczas tańca nie podała mu już ani razu ręki, a tylko koniec wachlarza, a gdy miał nastąpić *grande chaine*, wystąpiła z koła i nie spojrzawszy nawet na swego tancerza, podała ramię stojącemu za nią ponuremu panu, który odprowadził ją do fotelu. Ujrzawszy się wyłączonym z koła, błąkał się jakiś czas po salonach, aż znalazł się nareszcie w bufecie. Tu zrobił spostrzeżenie, że są przecież ludzie rozumni, którzy zamiast tańczyć i pocić się, wolą siedzieć przy stole i posilać swe ciało. Przy jednym z stolików Bebus i Blickus siedzieli nad butelką wina. Spostrzegłszy go, zrobili mu przy sobie miejsce. Filip nie zdołał jeszcze ocenić smaku wina, gdy spostrzegł trzech młodych ludzi sztywnym i uroczystym krokiem podstępujących ku niemu. Średni był ów znajomy już mu z monoklem w oku, dwaj drudzy byli Thuri i Stelli. Młodzieniec z monoklem zatrzymuje się przed nim w odległości pół kroku, wkłada wielki palec lewej ręki za kamizelkę, i uderzając się trzymaną w prawej ręce rękawiczką, mówi:

— Mój panie! powiedziałeś pan w obecności wielu osób, że ja nie zapłaciłem mego długu. Oświadczam, iż jesteś pan niegodnym kłamcą!

I wszyscy trzej odeszli.

Filip jakby ogłuszony, spojrzał na swoich towarzyszy.

— Z całej tej niepojętej dla mnie rzeczy, rozu-

miem tylko to, że ten pan mnie obraził i musi mi dać satysfakcję.

— Jesteśmy gotowi do twoich usług — odrzekli obaj.

— Proszę was załatwić tę sprawę, zanim się rozgłosi. Idźcie porozumieć się, ja tymczasem wrócę do sali tanecznej, gdzie będę na was oczekiwał. By zaś nie zwrócić na siebie uwagi, rozejdziemy się stamtąd pojedyńczo.

Wkrótce Filip przekonał się, że tego rodzaju sprawy bardzo prędko tu się załatwiają. Jeszcze nie ukończono polki mazurki, gdy jeden z sekundantów przybył już z oświadczeniem, że znalazł bardzo dobre miejsce do spotkania się. W ogrodzie za pałacem księcia znajdowała się bardzo dogodna strzelnica. Tam będzie można sprawę załatwić, nie odjeżdżając powozami, co mogłoby zwrócić uwagę stangretów. Sekundanci wybrali pistolety i zgodzili się na trzykrotne strzelanie z odległości trzydziestu kroków, z prawem postąpienia pięciu naprzód.

„No, ten dzień kończy się dobrze“ — rzekł do siebie Filip.

Czekał jeszcze chwil kilka, i dopiero gdy zaczął się kotyljon i powszechna uwaga zwróconą została na figury, wymknął się z sali niepostrzeżenie. W garderobie od uśmiechniętego i pewnego siebie lokaja wziął płaszcz. Wprawdzie jego własny, był koloru kawowego z małemi czarnemi guzikami, ten zaś był barwy szarej z czterema jak talerzyki deserowe guzami z perłowej masy. Ale na takie drobnostki nie zwraca się uwagi na dziesięć minut przed śmiercią. Zresztą, kto może przewidzieć? Bywały wypadki, że kula odbijała się czasami od wielkich guzików.

Wyszedłszy na dziedziniec, spotkał oczekujących już nań obu sekundantów, i wolnym krokiem udał się

z nimi do ogrodu. Na dwóch końcach strzelnicy ustawiono przyniesione z sobą świece i oświetlono ją o tyle, iż przeciwnicy mogli się widzieć dobrze. Tymczasem nadciągnęła strona druga z lekarzem. Sekundanci nabili pistolety i następnie wezwali przeciwników do pogodzenia się, rozumie się bezskutecznie. Po takiej zniewadze nie może być zgody. Chustkami odmierzono trzydzieści kroków odległości, następnie pięć kroków awansu, ustawiono przeciwników na miejscach i wręczono im pistolety.

— Sternberg ma pierwszy strzał — zawołał Artur i klasnął trzy razy w dłonie.

Filip stał nieporuszony, ze spuszczoną ku ziemi bronią i patrzał przed siebie.

— Dla czego nie strzelasz?—zapytał go sekundant Blickus.

— Czekam, aż Sternberg strzeli.

— Czekasz, aż Sternberg strzeli?

— Tak, tamten pan.

— Ależ to jest Greifenwald!

— Więc gdzież jest Sternberg?

— Gdzie Sternberg? No, odkąd żyję, nie wiedziałem czegoś podobnego! Więc ty nie jesteś Pipo?

— Być może że jestem i Pipo, lecz w takim razie Pipo Maglay, a nazwiska Sternberg nawet nie słyszałem nigdy. Przyjechałem prosto z Węgier.

W strzelnicy podniósł się krzyk oburzenia.

— To nie jest Sternberg! To jakiś ludożerca węgierski! To rzecz niesłychana!

W trakcie tego zgiełku wpada tymczasem do strzelnicy zadyszany rzeczywisty Pipo Sternberg. Filipowi zdawało się, że to odbicie zwierciadła zbliża się ku niemu. Nawet jego kawowy płaszcz z małemi czarnemi guzikami miał na sobie.

— Rzecz niesłychana!—zawołał przybyły.—Mam

w towarzystwie sobowtóra, który wszystkie moje sprawy bierze na siebie. Ale znalazłem go nareszcie! Nawet moje ubranie ma na sobie.

Gdy stanęli obaj obok siebie, okazało się, że jakkolwiek była między nimi pewna różnica, to przecież zarazem podobieństwo tak łudzące, że bardzo łatwo można było się omylić, widząc ich zwłaszcza oddzielnie. Kolor włosów tylko był nieco odmienny, co zresztą wieczorem nie dawało się spostrzedz odrazu. Wśród ogólnego śmiechu podali sobie ręce i zawarli przyjaźń, poczem jednak Sternberg począł mu robić wymówki.

— Powiem ci, mój drogi, że sprawiłeś mi niemało kłopotu. Najprzód nie przyjąłeś od Greifenwalda długu, w skutek czego będę miał z nim awanturę; nie przywitałeś się z ministrem i ściągnąłeś na mnie niełaskę; pozbawiłeś mię sukcesji po wuju, i nakoniec rozgniewałeś na mnie moją uwielbioną. To ostatnie zwłaszcza doprowadza mnie do wściekłości! Powiedz mi, jakie zwierzenia ci robiła?

— Powiedziała mi, że termometr wskazuje jedenaście stopni, że żółta róża bardzo ładnie wygląda na czarnem domino, i że mający się odbyć jutro bal maskowy zapowiada się świetnie.

— Ach, ty barbarzyńco! eskimosie! To znaczy, że powinienem znajdować się o godzinie jedenastej na balu maskowym, i że poznam ją po żółtej róży na czarnem domino. Cóżeś ty na to odpowiedział?

— Na oświadczenie pierwsze odrzekłem, że termometr wskazuje zimno; na drugie, że żółta róża nie podoba mi się, a na trzecie, że na balu maskowym nie będę, gdyż odjeżdżam do Pesztu.

— Ach, ty samobójco! Powinienem się teraz strzelać z tobą, by zgładzić ze świata mego sobowtóra.

— Cóż ja winienem, że każdy mnie brał za ciebie?

— I jeszcze do tego masz imię Filip? Nie, my nie możemy mieszkać w jednem mieście.

— Owszem, rozróżniajmy się tylko kolorem krawatów. Ja będę nosić czerwony, a ty niebieski.

— Są to drobiazgi, ale mam ważniejszą i nie tak łatwą sprawę z tobą do uregulowania. W mojem zastępstwie otrzymałeś pocałunek od mojej siostry Adeli.

— Jakto? Więc to twoja siostra?

— Tak. Ma ona śmieszny zwyczaj, iż gdy nie widzi mnie czas jakiś, to gdziekolwiekbądź później spotka, rzuca mi się na szyję i całuje.

— Jest to dla mnie większem nieszczęściem, niż dla ciebie.

— To jednak nie może tak pozostać i musi być pomszczone. Chodź ze mną.

Wziął pod rękę swego sobowtóra i obaj, w towarzystwie śmiejących się sekundantów wrócili do pałacu. Na ten raz powiesili swoje płaszcze tak, iż pomylić się nie mogli. Tymczasem w salonach pogłoska o tem *qui pro quo*, podobnem do szekspirowskiego w „Comedie of errors“, już się rozeszła. Różnica tylko w tem, że gdy to ostatnie było zmyślonem, historja, którą opowiadamy, jest autentyczną. Rzeczywisty Pipo Sternberg przedstawił prawdziwego Filipa Maglaya wszystkim tym osobom, z któremi on rozmawiał i wśród ogólnej wesołości wyjaśnił nieporozumienie. Przyszła nareszcie kolej na przygodę z pocałunkiem. Podczas odpoczynku damy cofnęły się do oddzielnego salonu, gdzie znalazła się i piękna Adela w towarzystwie swej ciotki. Pipo Sternberg podszedł ku nim ze swym sobowtórem.

— Przyprowadzam złodzieja, który ukradł ci pocałunek i domagam się, by ci go oddał.

Urocze dziewczę zarumieniło się po białka oczu, ale przytomny Filip wybrnął z kłopotu.

— Oddać nie mogę—odrzekł—ale mogę odesłać przez tego, dla którego był przeznaczony — i pocałował Sternberga.

Postąpienie to podobało się obecnym. Pipo Sternberg zbliżył się do siostry, aby stosownie do otrzymanego zlecenia wrócić jej pocałunek.

Adela zarumieniona, zasłoniła twarz wachlarzem i szepnęła:

— Nie przyjmuję go; mógł pozostać na miejscu!

Było to w każdym razie w najlepszej formie zrobione wyznanie.

W trzy dni później Filip Maglay zaręczył się z hrabianką Sternberg.

VI.

Dla Filipa Maglaya ten ziemski świat, zwany „kobietą", był dotychczas tylko celem pragnienia i użycia; dopiero od chwili poznania Adeli uczucia jego zmieniły się w cześć i uwielbienie.

Adela otrzymała wychowanie domowe. Matka jej, pochodząca z russkiej rodziny hrabiowskiej, umarła wcześnie, zostawiwszy opiekę nad nią ciotce i ojcu. Do piętnastego roku życia pozostawała w domu, następnie, według ówczesnego zwyczaju oddano ją do klasztoru, skąd wyszła dopiero dla wejścia w świat. W tym czasie umarł jej ojciec, który zresztą z powodu obowiązków, zmuszających go do mieszkania zdala od rodziny, nie mógł widywać jej często.

Rzadko się zdarza, aby młode dziewczę, które

oddało swe serce pierwszemu na swej drodze spotkanemu mężczyznie, zyskało stałą jego miłość. Wypadek ten jednak miał miejsce z Adelą. Nie żałowała ona nigdy przez pomyłkę udzielonego pocałunku. W długim przeciągu czasu między zaręczynami i oznaczonym terminem ślubu, przygoda ta dawała często powód do przekomarzania się i żartów.

— Widzisz, gdybyś nie był tak podobnym do mego brata, nigdybym cię nie była pocałowała.

— A jednak jaka różnica jest między mną i twoim bratem!

— Niebo i ziemia! Jesteś takim, jakim pragnęłam zawsze widzieć mego brata. Chciałam posiadać mego brata, że tak powiem, w dwóch egzemplarzach, aby jeden spełniał moją wolę, a drugi czynił co mu się podoba. Dzisiaj moje marzenie spełniło się. Jeden Pipo poluje w lasach na zwierzęta, a w miastach kto wie na kogo; drugi siedzi przy mnie i czas mi uprzyjemnia. O jednym może niedługo usłyszę, że spadł z konia i rękę złamał, albo w pojedynku został ranionym. Mówią mi, że jeden przegrał wielką sumę w karty i nietrzeźwym przyniesiony został do domu, ale już nie boli mnie to jak dawniej, gdy miałam tylko jednego. Drugi siedzi przy mnie, uczy mię gry w szachy i upaja się wraz ze mną Shelleyem i Byronem... Bracia powinni być takimi, jakim ty jesteś.

— Dziwna rzecz, że bracia zazwyczaj nie są tak przywiązani do swych sióstr.

— A ja pragnęłabym bardzo, byś na zawsze został tylko bratem moim. Moglibyśmy mieszkać w jednym domu i zawsze być przy sobie. W dzień uczyłbyś mnie w ogrodzie lub w polu mowy kwiatów, której nie znam, w nocy ja uczyłabym ciebie nieznajomej ci nauki o gwiazdach.

— Między rodzeństwem mogą to być piękne nau-

ki—zauważył Filip żartobliwie — ale myślę, że są jeszcze piękniejsze.

— Zapewne, naprzykład religja. Czy wiesz, jakie jest moje najwyższe pragnienie? Widzieć cię zakonnikiem, a siebie zakonnicą.

Filip roześmiał się, lecz widocznie gniewało go to.

— Nie śmiej się, bo mnie to smuci. O, jakby to było pięknie! Ty w pięknym białym habicie, przepasany błękitnym pasem jedwabnym, jakżebyś wspaniale wyglądał! Jakże uroczyście twój piękny głos wznosiłby psalmy ku niebu i łącząc się z moim, wzbijał się pod gwiazdy!

Filip przycisnął rękę narzeczonej do serca i prosił ją, by pozostała z nim raczej na tej pięknej ziemi. Astronomja uczy, że przecież i ziemia jest jednem z ciał niebieskich, a kto tak bardzo tęskni do gwiazd, niech wyobrazi sobie, że się tam już znajduje i tem się zadowolni.

Ślub miał się odbyć w jesieni, w dniu, w którym Adela ukończy lat ośmnaście. Tymczasem miała ona przebywać częścią w Wiedniu, częścią u ciotki swej w Górnej Austrji. Filip Maglay rozstawał się z nią wtedy tylko, gdy interesa majątkowe wymagały wyjazdu do Węgier.

Sielankę tę przerwał sezon myśliwski, podczas którego drugi Pipo przyjechał na polowanie do swej ciotki. Przywiózł z sobą wielu towarzyszy i w jednej chwili ciche to ustronie zaroiło się strzelcami i psami.

Adela jednak nie puściła swego Filipa z innymi na polowanie. Dość, że jeden uganiał się za dzikiemi zwierzętami.

— Czyż tobie nie przykro—mówiła—zabijać tak łagodne, przyjemne zwierzę, jak sarna? Mówią, że postrzelony jeleń, przed śmiercią płacze łzami jak czło-

wiek. Czyż to jest odwagą zabijać biednego, uciekającego zająca, który skarżyć się nie może? Jak wstrętnem morderstwem wydaje mi się, gdy myśliwy zabija głuszca lecącego na swe wesele! Cobyś powiedział, gdyby istota potężniejsza od ciebie, strzeliła do cię z zasadzki w chwili, gdy wybierałbyś się do ślubu? Pomyśl o zemście istot na tamtym świecie! Nie sprawiaj cierpienia zwierzętom, które są twymi sługami!

Filip Sternberg żartował sobie z tego sentymentalnego usposobienia siostry, ale Filip Maglay słuchał jej i był za to przez innych wyśmiewany. Urok, jaki Adela wywiera na niego, był tak wielki, że niejednokrotnie, czyniąc ustępstwo dla jej przekonań, powstrzymywał się od jedzenia zwierzyny.

Pewnego dnia całe towarzystwo myśliwskie na zaproszenie hrabiego Sternberga udało się na polowanie do Rakomitz, głównych dóbr jego.

Filip brat pragnął, by i Filip narzeczony wziął udział w polowaniu na niedźwiedzie.

Takie polowanie wymaga odwagi, niedźwiedzia bowiem nie można obwiniać o lękliwość i nieumiejętność obrony. Nie zabijają go również dla mięsa, lecz dla tego, że jest szkodliwym: niszczy pola i zabija bydło ubogich ludzi. Niebezpieczny to nieprzyjaciel. Przeciw niemu może stanąć tylko odważny człowiek. Ale polowanie to nie podobało się Adeli.

— Nie idź! Przytrafi ci się nieszczęście. Mój wuj Fryderyk został na takiem polowaniu zastrzelony; najlepszy przyjaciel zabił go przypadkiem. Naszemu ojcu potrzaskał niedźwiedź strzelbę i rozdarł mu nogę. Spojrzyj na tę skórę! Zwierzę, które ją nosiło, było straszne, miało głowę większą od ludzkiej. Jakie pazury, jakie olbrzymie zęby! Proszę cię, zostań!

Ale żywy ten opis niebezpieczeństw, wywarł skutek przeciwny.

— Jeżeli niedźwiedź jest rzeczywiście tak niebezpiecznem zwierzęciem, to właśnie będę go szukać, by mu powiedzieć jedno słówko.

— Mojemu ojcu wyszło to na złe.

— Więc moim obowiązkiem jest pomścić go.

— Więc proszę cię o jedno. Między niedźwiedziami są samce i samice. Nie zabijaj samicy! Może ona ma dzieci.

Słowa te wywołały powszechną wesołość.

— Kochana siostrzyczko — odezwał się brat Filip, śmiejąc się.—Na nieszczęście, niedźwiedzie damy nie noszą czepka, niepodobna więc rozróżnić, czy ma się przed sobą pana czy damę.

— Nie śmiej się ze mnie, bo mam przeczucie, że jeżeli Filip zabije samicę, to stanie się jakieś nieszczęście.

— Za dziesięć lat będziesz inaczej mówić, siostrzyczko!

VII.

Zamek radomicki był rodzinnem gniazdem hrabiowskiej rodziny Sternbergów. Dziś jeszcze otoczony jest wałami, które wytrzymały napad husytów. Stare mury utrzymały się dotychczas i odwiedzający je mogą jeszcze widzieć zbrojownię, więzienie, stare hafty, zbiory wypchanych zwierząt i nasłuchać się opowiadania o czynach przodków, których portrety z podpisami imion rozwieszone są na ścianach. Nawet grób rodzinny godny jest widzenia: jestto od wieków już stojący pomnik marmurowy, na którym wyobrażony siedzący na zwyciężonym lwie rycerz ze zło-

żonemi do modlitwy rękami w żelaznych rękawicach. Ciekawą jest także kaplica zamkowa i znajdujące się w niej freski, obrazy w ołtarzach i kosztowne monstrancje.

Tylko pokój sypialny niedawno zmarłego hrabiego Alfreda jest zamknięty i widzieć go nie można. Klucz od drzwi tego pokoju ma zawsze przy sobie Filip i nie wpuszcza tam nikogo prócz rodziny.

Pierwsze dwa dni polowania na niedźwiedzia były niepomyślne. Przy pierwszej nagance niedźwiedź przerwał łańcuch i uszedł. Przy drugiej przestraszony myśliwy nie ośmielił się doń strzelić. Dopiero gdy założono obławę po raz trzeci, zatrzymano ogromną niedźwiedzicę z dwojgiem półrocznych niedźwiadków. Filip Maglay celnym strzałem powalił pierwszą, gdy tymczasem drugi Filip dwoma strzałami pozbawił życia młodych. Zabita niedźwiedzica była wspaniałym okazem i mogła być przedmiotem sporu, po zdjęciu bowiem skóry, znaleziono w niej cały tuzin kul rozmaitego kalibru, nawet jedną mosiężną, które myśliwi w rozmaitych okolicznościach jej przesłali. Ale kula Filipa przeszyła jej serce, a było to dostateczne nawet dla takiej niedźwiedzicy. Upolowanie tak wspaniałego zwierzęcia obchodzone było ucztą, a brat Filip zawiadomił o tem siostrę.

Następnego dnia nie zakładano obławy i postanowiono odpoczywać. Goście dla rozmaitości urządzili sobie połów na pstrągi, zaś Filip Sternberg dla uregulowania spraw majątkowych pozostał w domu wraz z swoim kuzynem i przyszłym szwagrem. Chciał on przedstawić mu testament ojca, zawierający szczegóły dotyczące podziału majątku między brata i siostrę. Majątek matki stanowił posag Adeli, z dóbr zaś ojcowskich brat obowiązany był wypłacić siostrze czwartą ich część w dzień ślubu. Tudności nie było za-

dnych i zgoda nastąpiła odrazu. Co jeden zaproponował, na to drugi się zgodził. Sprawę tę ukończono dość wcześnie, jeszcze przed powrotem gości z polowu ryb.

— Chodź ze mną—rzekł Filip Sternberg. — Dopóki jesteśmy sami, zobaczmy pokój, w którym umarł mój ojciec.

Poszli.

Pokój ten znajdował się w stakim stanie, w jakim był chwili śmierci hrabiego. Umarł on nagle. Miał wtedy lat pięćdziesiąt i był jeszcze silnym i pełnym życia. Na łóżku, pokrytem skórą jelenia, leżała jeszcze mała książka do nabożeństwa, z którą hrabia nie rozstawał się nigdy. W stojącym obok na stoliku lichtarzu, kawałek niedopalonej woskowej świecy, był wskazówką, iż śmierć nastąpiła w nocy. Dalej stała mała czarna flaszeczka, widocznie z kroplami naparstnicy, mała złota łyżeczka i szklanka, z której woda dawno wyparowała. Na krześle leżało w porządku ubranie myśliwskie; do kolan sięgające buty skórzane i filcowy kapelusz, napełniony jajami ptasiemi, dowodziły, że zmarły w dzień śmierci polował na bekasy. Na środku pokoju stało wielkie krzesło.

— Znaleźliśmy ojca nieżywym na tem krześle— rzekł Filip Sternberg.—Widocznie przed śmiercią patrzał na tę ścianę.

— Cóż na niej było?

Cały pokój sypialny wyłożony był taflami z drzewa dębowego, przedstawiającemi różne trofea myśliwskie: uwieszone za nogi bażanty, głuszce, zające i t. d Na tafli, znajdującej się naprzeciw krzesła, wyobrażony był głuszec, roztaczający ogon nakształt pawia

— Cóż mogło dziwić na tej ścianie?

— Czy chcesz się dowiedzieć?

— Czy od śmierci twego ojca zmieniono co w tym pokoju?

— Tylko ten zasuwany stół został przestawiony.

Filip nacisnął głowę głuszca, w skutek czego tafla usunęła się na bok i odkryła obraz kobiety naturalnej wielkości. Rzekłbyś, Wenus z swoim synkiem Amorem. Postać odwrócona do widza tyłem, miała zwróconą tylko głowę, wesoły zaś, rumiany chłopczyk wspinając się na jej ramię, zaglądał jej w oczy. Jego grube, różowe, małe ręce, tworzyły żywe przeciwieństwo ze śnieżnej białości jej ramionami. Długie koloru złotego włosy, okrywały tę postać wychodzącą z kąpieli.

Na widok tej kobiety serce Maglaya zamarło.— Ta kobieta i to dziecko tam!... Jak nieprzytomny wypadł z pokoju.

— Co ci się stało? — zapytał go Sternberg po zamknięciu drzwi pokoju.

— Nic, nic — wyszeptał Maglay. — Nie wiem... uczułem nagle zawrót głowy.

— Być może, że to skutek ciężkiego powietrza tego pokoju. Mnie samemu robi się słabo, gdy tam się znajduję.

Wesoły hałas, sprawiony przez powracających gości, wniósł trochę ożywienia, ale nie zdołał rozwiać smutnego wrażenia z umysłu Filipa Maglaya. Opuścił towarzystwo, tak, że z trudnością go odszukano, przy stole siedział milczący, nie jadł, nie pił, najweselsze anegdoty, od których inni aż kładli się ze śmiechu, nie sprawiały na nim żadnego wrażenia.

— Więc chyba widzisz ducha zabitej niedźwiedzicy!—zawołał Sternberg.

Filip Maglay skinął tylko głową i rzekł do siebie: „Zapewne, że był to duch i on to mię zdruzgotał“. Tego samego wieczora oświadczył, iż od rząd-

cy swego otrzymał ważne wiadomości i musi bezzwłocznie jechać do Pesztu.

VIII.

Pan Pargha był osobistością powszechnie znaną w stolicy. Jego poważna postawa, szerokie ramiona, wielka głowa i potężny głos, wyróżniały go od innych. Sławę swego nazwiska zawdzięczał on głębokiej znajomości prawa i legendowej uczciwości. Spraw nieuczciwych nigdy nie przyjmował, a której się podjął, wygrywał zawsze. Był on doradcą prawnym wielu familji szlacheckich, lecz głównie prowadził interesa rodziny Maglayów, przy której w młodości swojej rozpoczął karjerę od miejsca praktykanta, zanim się osiedlił w Peszcie. Lubiany i szanowany przez nich, zapraszany był często na polowanie i tam corocznie przepędzał letnie ferje.

Przybywszy do Pesztu wprost z Radomitz, nie zatrzymując się nigdzie ani na chwilę i nie zmieniając nawet ubrania, Filip Maglay udał się wprost do pana Parghi. Plenipotent spostrzegłszy go, przestraszył się. Młody człowiek wydawał się zupełnie złamanym.

— Czy byłeś pan chory?

— Jestem zupełnie zdrów.

— Dla czegoś pan taki blady?

— Mam do tego wiele powodów. Przybyłem do pana dla załatwienia bardzo ważnego i pilnego interesu.

— No, pewnie interes pieniężny?

— Tak.

— Czyś dużo pan przegrał?

— Wszystko straciłem.

— Wszystko?... Ależ to rzecz niemożliwa?

— Jestem, jak mnie pan widzisz w tej chwili i nie mam już nic własnego.

— Ależ to jest szaleństwo! To rzecz niepojęta! Straciłeś pan wszystko? Któż więc wygrał?

— Mój brat Ernest.

— Pański brat Ernest? Przecież go niema w domu! On teraz gdzieś w Afryce poluje na lwy. Jeżeli tam dłużej pozostanie, przybędzie więcej lwów do menażerji...

— Pomimo tego nabył odemnie cały mój majątek. Cały majorat Maglay przekazuję na jego imię.

— No, a pan?

— Ja udaję się do Jasso i wstępuję do klasztoru.

Na te słowa pan Pargha wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Ależ to żart, z którego pan sam śmiejesz się zapewne.

— Nie śmiej się pan, bo jestto moje niezłomne postanowienie.

— Więc cóż się stało? Czy miłość nieszczęśliwa? Czy może narzeczona zdradziła pana?

— Moja narzeczona jest aniołem, jakiego niegodzien jest żaden śmiertelnik. Ona mnie uwielbia i również wstępuje do klasztoru.

— Do stu piorunów! Więc zostanie zakonnicą?

— Takeśmy postanowili.

— Więc może rodzina nie zgadza się na wasz związek?

— Przeciwnie! Bardzo go pragnie.

— I oboje jednak wstępujecie do klasztoru, pan tu, a ona tam?

— Nie możemy postąpić inaczej.

— Młodzieńcze! młodzieńcze! Musiałeś zrobić jakieś wielkie głupstwo! Powiedz otwarcie! Może pojedynek amerykański?

— Nie.

— W takim razie wyjaw mi powody tego niepojętego postanowienia. Jeżeli bowiem nie masz ich, to powinieneś iść nie do klasztoru, lecz do szpitala warjatów.

— Więc powiem panu otwarcie. Dowiedziałem się, że nie jestem synem mojego ojca.

— Nie rozumiem.

— Każdy uważa mnie za syna hrabiego Alfreda Sternberga. Jesteśmy tak podobni do siebie jak dwaj murzyni. Wtedy zaś gdy się urodziłem, hrabia Alfred Sternberg był kawalerem, przebywał na Węgrzech i mieszkał nawet w naszym zamku.

— Powoli, powoli, młodzieńcze! Pomyśl nad tem co mówisz! Taki zarzut podnosisz przeciw matce własnej, i wyrok wydajesz? Przeciw wcielonej cnocie która już nie żyje i bronić się nie może?

— Dowodem jest to podobieństwo!

— Zastanów się pan tylko! Tego rodzaju podobieństwa są zagadką natury dawno już rozwiązaną. U kobiet, w pewnym stanie, powstają one przez idjosynkrazję. Wiedział już o tem patrjarcha Jakób gdy pasał owce Labana.

— Mało mnie to obchodzi, powoduję się bowiem poczuciem prawa. Nie mogę pozwolić na to, by prawo pierworodztwa w rodzinie Maglayów zostało naruszone, i pragnę by powrócone ono zostało prawemu potomkowi. Wyrzekam się i majątku i nazwiska! W klasztorze będę się nazywał bratem Pawłem, nazwiska Maglay zrzekam się, i pragnę, by cała ta sprawa została załatwioną jak najśpieszniej.

— Pan wiesz, że spraw niesłusznych nie przyjmuję nigdy.

— Moja sprawa jest słuszną.

— Skoro pan tak uważasz, więc spełnię twoje żądanie. Za pośrednictwem posła francuskiego w Wiedniu napiszę do pańskiego brata, przebywającego obecnie w Algierze, a skoro przybędzie, natychmiast pana o tem zawiadomię. Wtedy obaj przyjdziecie do mnie i podpiszecie odpowiednie dokumenty.

— Dobrze. Tymczasem pozostanę w Peszcie. Nie będę wychodzić z domu i proszę pana nie mówić nikomu o moim tutaj pobycie.

IX.

Od czasu nagłego zniknięcia Maglaya, upłynął już cały miesiąc. Przez ten czas Sternbergowie wielokrotnie pisali do rządcy dóbr Maglaya i do jego plenipotenta w Peszcie. Filip, Adela i stara ciotka, natarczywie dopytywali się o narzeczonego, lecz nie otrzymywali żadnych wiadomości. Trzydziestego dnia, ukryty w swojem miejskiem mieszkaniu, otrzymał Filip krótki list, w którym proszono go o przybycie do domu plenipotenta, w celu ostatecznego załatwienia wiadomej mu sprawy. Trwał on stale w swem postanowieniu. Powoli oswoił swe serce ze strasznem cierpieniem, i pogodził się z myślą opuszczenia tego pięknego świata, młodości i piękniejszej nad wszystko narzeczonej. Patrzał na siebie jak na żyjącego życiem zmarłych. Gdy o naznaczonej godzinie zjawił się u swego plenipotenta, zastał młodego człowieka, który leżąc na sofie z nogami wyciągniętemi wyżej głowy, spokojnie palił cygaro. Był to brat jego Ernest. Tak, była to ta sama nieforemna, wielka,

kańciasta głowa, te same grube rysy twarzy, te same, stworzone do noszenia wielkiego ciężaru szerokie ramiona; były to jego szerokie usta z szyderskim uśmiechem i jego spłaszczony nos hotentocki.

— Dzień dobry, Erneście!

Zagadnięty wzruszył ramionami, wytrzeszczył oczy na sufit, puścił gęsty kłęb dymu, lecz nie poruszył się z sofy. Filip pomyślał, że brat jego od wielu lat przebywając w Anglji, zapomniał zapewne węgierskiego języka, więc powtórzył przywitanie po angielsku: „Good morning, sir.“

Teraz dopiero podniósł się, usiadł prosto i położywszy obie swe szerokie dłonie na kolanach, spojrzał małemi, przenikliwemi oczami na Filipa.

— Czego chcesz odemnie?

— Ach, więc rozumiesz jeszcze po węgiersku! Dawno przybyłeś?

— Około godziny czwartej rano.

— Czy wprost z Afryki?

— Nie, z hotelu europejskiego, gdzie teraz zwykle grywamy w makao.

— Dużo lwów zastrzeliłeś?

— Kozłów kilku zabiłem, ale lwa nawet nie widziałem.

— Jakżeś czas spędzał?

Zapytany gniewnie wzniósł oczy do góry.

— Cóż ciebie to obchodzi, w jaki sposób go spędzałem?

— Chciałbym wiedzieć, za co rozgniewałeś się?

— Ja zaś przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, gdzieśmy zawierali z sobą braterstwo, i jakiem prawem ośmielasz się mówić do mnie tak poufale?

Słowa te rozdrażniły Filipa niezmiernie.

— Tego za nadto! Więc wypierasz się pokre-

wieństwa ze mną, gdy ja z miłości dla ciebie zrzekam się mego dziedzictwa?

Na te słowa Ernest zaczął się śmiać tak serdecznie, że aż cygaro z ust mu wypadło. Podbiegł do drzwi sąsiedniego pokoju, w którym plenipotent siedząc przy stole pisał, i zawołał:

— Chodź no tu, ojcze! Przyszedł tu jakiś pan który udaje, że jest moim bratem.

Pan Pargha wyszedł ze swego gabinetu do sali, trzymając w ustach pióro, w jednem ręku ogromny kałamarz, w drugiem zaś plik papierów.

— Jak to? Więc to jest pański syn? — zapytał Filip zdziwiony?

— Przynajmniej jestem przekonany, że ten hultaj jest moim synem!

— Zdawało mi się, że to mój brat Ernest!

— Rzeczywiście, bardzo są do siebie podobni.

— Dziwna rzecz!

— Otóż to, co już panu powiedziałem. Idjosynkrazja kobiet, nic więcej. W owym czasie przebywałem często w zamku maglajskim, a nie możesz pan chyba podejrzewać, by zmarła szlachetna kobieta zakochała się we mnie, com podobny do hipopotama. Józef mój na mocy takiego samego prawa podobny jest do pańskiego brata Ernesta, jak Filip Sternberg do pana...

Nie przekonało to jeszcze Filipa.

— Ależ ten portret! Ten obraz Wenery w zamku radomickim?

— Obraz ten jest portretem paryskiej śpiewaczki, pięknej Cornemuse, na którą zmarły w młodości swej stracił piękny majątek.

Filip odetchnął.

— No, podpisuj pan teraz zrzeczenie się—rzekł

Pargha podając Filipowi dokument.—Pan Ernest pisze mi z Sahary, że nie może teraz przybyć do kraju, gdyż poluje na żyrafy, ale mimo to możemy wziąć się do opisu, a ja majorat sprzedam i pieniądze jemu odeślę. No, dalej panie Filipie! podpisuj pan. Postaramy się o dwóch świadków, poczem przywdziewaj sutannę. W klasztorze czekają na ciebie już niecierpliwie.

I poczciwy plenipotent śmiał się i żartował z Filipa.

— Dziękuję, już się namyśliłem. Mój brat nie otrzyma majoratu.

— Więc wracasz pan do swej pięknej narzeczonej?

— Wracam, i mojego brata Józefa proszę, by zechciał być drużbą.

— Dobrze. Możesz pan ze spokojnem sumieniem zaślubić hrabiankę Sternberg. Tylko radzę, po ożenieniu się dla zabezpieczenia żony od wszelkich ewentualności, umieścić ją pod szklannym kloszem.

Filip Maglay wrócił do swej narzeczonej, długą zaś nieobecność swoją usprawiedliwił licznemi interesami, jakie musiał koniecznie uregulować. Żyli z sobą szczęśliwie i doczekali się licznego potomstwa.

* * *

A teraz pytanie, który z tych tęgich ludzi był najdzielniejszym? Sebastjan Maglay, Sternberg, Filip czy też plenipotent Pargha?

KONIEC.

OSZK

OSZK

CAMZA
Digitized by Google